Nr. 38. We Lwowie dnia 23. września 1900. Rok 8.



Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

BOLESŁAW LIMANOWSKI.

2)

Dynamika społeczna

(Historjozofja).

Zoologiczne pochodzenie człowieka i bujna roślinność, która otaczała jego kolebkę, okrywając nieprzerwanym prawie płaszczem gęstych i splecionych lasów wynurzone z wody przestrzenie ziemi, każą przypuszczać, że pierwsi ludzie żyli w lasach i w sposobie swego życia mieli wiele wspólnego z małpami. W lasach człowiek łatwo znajdował sobie pożywienie i łatwo mógł uciec i ukryć się od napaści dzikich zwierząt. Bronią jego było nie tylko ręce, pazury i zęby, ale także kamienie i gałęzie w lasach ułamane — jak to już opiewał Lukrecjusz w poemacie: De Rerum Natura*). Co do sposobu jego życia, to możemy w pewnej mierze wnosić z tego, co widzimy u Buszmenów w południowej Afryce, Weddahów leśnych na Cejlonie, Botokudów w południowej Ameryce, dzikich mieszkańców lądu australijskiego. Pożywieniem jego były: owoce, jagody, liście, korzonki, łodyżki, grzyby — o ile je wypróbował i uznał za jadalne. Gąsienice rozmaitych owadów — to ulubiona potrawa dzikich. Jadł też pierwotny człowiek ślimaki i innego rodzaju mięczaki, które znajdował w obfitości na przesyconej podówczas wilgocią ziemi i w licznych strumieniach, rzekach i jeziorach. Pozostały z owych czasów — jak utrzymują archeologowie — owe ogromne pokłady skorup mięczaków, duńskie kioekkezmoeddings, Sambaquo w porzeczu Amazonki. Jadł wreszcie pierwszy człowiek niezbędnie wszystko, co się dawało łatwo pojmać lub co znalazł przypadkowo, chociażby to była zdechlina, a znajdowane w gniazdach jaja i pisklęta stanowiły prawdziwą łakoć dla niego Chodził on zapewne zupełnie nago, a na wzór tego, co już czynią niektóre małpy, z gałęzi i liści splatał i uścielał sobie schronisko. Podobnego rodzaju szałasy napotykano u Finnów jeszcze za czasów Tacyta (Germania, cap. 46). Same warunki takiego życia nie dopuszczały, ażeby gromady zbytnio rosły w liczbę, gdyż inaczej zachodziła trudność o pożywienie, i głód — jak to obecnie się jeszcze dzieje u dzikich — rozpraszał je w rozmaite strony.

Uzewnętrznienie broni — jak to już zauważyłem gdzieindziej*) — było nader ważnym warunkiem postępowego rozwoju społeczeństw ludzkich. Pierwotną taką uzewnętrznioną bronią były gałęzie drzewne i kamienie, początkowo prawdopodobnie wybierane, następnie zaś obrabiane. Klemm (Allgemeine Culturwissenschaft) przedstawia, jak stopniowo, poczynając od kijów i pałek dochodzono do lanc i maczug; od kamieni ostrych lub okrągłych do kamiennych siekierek i młotków. Liczne wykopaliska broni z prastarych epok życia ludzkości tak zaimponowały badaczom owych czasów, że podzielili historję pierwotną na wieki kamienia wygładzonego, bronzu lub miedzi i żelaza. Podział ten słuszny – i to względnie w odniesieniu do historji doskonalenia broni, niema jednak prawie żadnego znaczenia, jeżeli obejmujemy myślą całość życia społecznego. Niezawodnie, że odkrycie sposobu wydobywania kruszców sprowadziło ważne następstwa w rozwoju życia społecznego, ale z powodu znacznie już skomplikowanych czynności, jakie były potrzebne przy wydobywaniu kruszców, mogło ono nastąpić tylko wówczas, kiedy społeczeństwa ludzkie stanęły na wyższych szczeblach rozwojowych. Chińczycy posiadali już byli hieroglify, a nie znali jeszcze użytku metali. Przytem trochę zastanowienia wystarcza do zrozumienia tego, że oswojenie zwierząt mlekodaj-

*) Arma antiqua manus, ungues dentesque fuerunt, et lapides, et item silvarum fragmina rami.

*) Wpływ wiedzy stosowanej na rozwój życia społecznego — w londyńskim *Przedświcie* (1895 r. XX, 8 i 9).

nych i zasiewanie roślin zbożowych musiały sprowadzić większe odmiany w sposobie życia ludzkiego, aniżeli zastąpienie broni kamiennej kruszcową. W trzeciej księdze *Praw* Plato już zaznacza te szczeble rozwoju ludzkości, która zaczęła na nie wstępować jeszcze w wieku kamienia obrobionego, jak o tem wnosić można ze znajdowanych pozostałości w wykopaliskach z owych czasów.*)

Zanim jednak człowiek został pasterzem i rolnikiem, był on w ciągu dłuższego szeregu wieków tylko łowcą i myśliwym. Udoskonalona broń dawała mu przewagę w walce ze zwierzętami i z napastowanego stał się napastnikiem. W walce tej urabiały się jego siły cielesne i zdolności umysłowe. Jednostki silniejsze, zręczniejsze i zmyślniejsze łatwiej utrzymywały się przy życiu i liczniejsze pozostawiały po sobie potomstwo, przekazując mu w dziedzictwie nabyte przymioty. Do rozwoju postępowego, tak psychicznego jak społecznego, dopomagała potężnie mowa artykułowana, kształtująca się stopniowo z dźwięków wzruszeniowych (emocjonalnych), wykrzykników zapomocą których jeszcze dzisiaj dzikie plemiona łatwo porozumiewają się z sobą. Każdy ważny nabytek w formowaniu się artykułowanej mowy przechodził dziedzicznie do następnych pokoleń: jako własność biologiczna, łącząca się z pewną zmianą w strukturze wewnętrznej i w czynnościach mózgu, i jako własność społeczna, udzielana dzieciom przez nauczanie. I udoskonalanie broni odbywało się także w drodze podwójnego odziedziczenia: nabyta wprawa ręki, czyli zręczność, przechodziła cieleśnie do następnych pokoleń, a nowy szereg spostrzeżeń i doświadczeń wchodził do zakresu wiadomości, udzielanych przez nauczanie. Odziedziczanie, odbywające się drogą nauczania, stawało się ważnem wiązadłem społecznem w gromadach ludzkich.

Myśliwsko-łowieckie hordy były już wyższym szczeblem w rozwoju ustrojowości społecznej. Należy przypuszczać, że były one i liczniejsze i spójniejsze od pierwszych gromad, kiedy ludzie uciekali jeszcze przed drapieżcami i nie odważali się byli napadać na większe zwierzęta. Myśliwstwo, wobec tych olbrzymich przeszkód, jakie przedstawiała pierwsza przygoda, a o jakich mogą dać częściowe wyobrażenie opisy południowej Ameryki przez Humboldta lub nadamurskiego kraju przez Wasilewskiego, wobec ogromnej liczby drapieżców, wobec lichości ówczesnej broni, było połączone z ogromnemi trudnościami i narażało na wielkie niebezpieczeństwa, a więc wymagało już pewnej karności pomiędzy temi, co się niem zajmowali. To więc, co wywoływało zawzięte spory i krwawe bitwy w samej hordzie, musiało być usuwane przez pewne uporządkowanie lub ograniczanie. Najważniejszemi powodami do sporów, wnosząc z tego co i obecnie się dzieje, były: podział zdobyczy i stosunki płciowe. Uregulowanie podziału zdobyczy — można powiedzieć — było pierwszym przejawem uczucia sprawiedliwości, pierwszym krokiem w ustanawianiu porządku prawnego. Co do stosunków płciowych, to Maine zrobił bardzo trafną uwagę, że nawet dzisiaj w naszem społeczeństwie byłoby niemożliwe spokojne pożycie wielu osób różnej płci pod jednym rodzinnym dachem, gdyby nie istniało to silne wędzidło, jakiem jest poczucie występności związku kazirodczego. Pierwsze, a może i następne nawet, ograniczanie stosunków płciowych stopniami pokrewieństw było spowodowane podług wszelkiego prawdopodobieństwa — potrzebą usunięcia jednej z najgłówniejszych przyczyn, która mogła często doprowadzać całą hordę do zguby. Były to — rzec można — pierwsze nakazy społeczne, zmuszające de powstrzymywania swych popędów, do panowania nad swemi uczuciami, pierwszy zawiązek moralności, głównej podstawy wszelkiej kultury. Ustalała się ona i wzrastała ona w drodze odziedziczania biologicznego pod postacią wrodzonego poczucia wstrętu lub pociągu, jako zmysł moralności, sumienie, i w drodze odziedziczania wychowawczego przez zastosowanie się do ustalonych zwyczajów i obyczajów.

W długim okresie życia myśliwsko-łowieckiego walka o byt była głównym, niemal jedynym czynnikiem rozwojowym. Wpływ nawet geologiczny*) stał się dopiero z biegiem czasu wydatniejszy, kiedy z jednej strony powierzchnia ziemi i klimat więcej się urozmaiciły, a z drugiej strony kiedy ludzie, posuwając się z pierwotnych miejsc swego zamieszkania, objęli szersze przestrzenie kuli ziemskiej. O czynniku ekonomicznym, czyli o wpływie mienia, zasobu, trudno także mówić, albowiem brak przezorności i myśli o jutrze jest cechą wszystkich dzikich ludów. Wiemy od znawcy życia Indjan północnych w Ameryce, Tannera, który porwany dzieckiem przeszło 30 lat żył z niemi, że śmierć głodowa często zagląda do koczowisk tego ludu, który jednak pomiędzy dzikiemi zajmuje jeden z najwyższych szczebli uspołecznienia, i że główną przyczyną srożących się głodów bywa zupełna nieoględność koczowników na jutro, brak zapasów z pomyślniejszej doby. Zasób moralno-umysłowy jest także prawie żadny, ażeby można było rozważać samodzielne onego działanie. Czynnik polityczny — można powiedzieć — nie istnieje w tym czasie, albowiem sama horda nie wyszła jeszcze w zupełności ze stanu — że tak powiedzieć pierwoszczowego, w którym niema podziału zajęć, w którym kobiety wraz z mężczyznami biorą

*) W wieku kamienia wygładzanego rolnictwo było znane w większej części Europy. Znaleziono w samej rzeczy pomiędzy pozostałościami z owej epoki szczątki zwęglonego żyta i innych zbóż". „Byk, koza, świnia, pies były już zwierzętami domowemi w epoce kamienia wygładzonego, jak dowodzi tego obfitość ich szczątków." Str. 264. Część I. L'homme et les siciétés, leurs origines et leur histoire (Paris, 1881) — Gustav Le Bon.

*) Używam stale wyrazu geologiczny zamiast geograficzny, albowiem w mojej klasyfikacji nauk całość wiedzy o ziemi objąłem nazwą *geologji*.

udział w myśliwstwie i łowiectwie — jak to jeszcze dzisiaj tu i ówdzie widzimy u dzikich, a następnie, przy małem rozmnożeniu się jeszcze ludzi, hordy bardzo rzadko spotykały się z sobą i spotkawszy się, prawdopodobnie starały się raczej oddalić, niż zbliżyć do siebie*)

Pasterstwo w rozwoju ludzkości przedstawia ważny krok postępowy. Grecy rozumieli to dobrze i poeci i historycy ich mówią o najdawniejszych ich mieszkańcach, że nie znali oni ani zwierząt domowych, ani rolnictwa. Oswojenie zwierząt pożytecznych dla człowieka mogło być następstwem przypadkowego znalezienia lub pojmania tylko co urodzonych małych i chowu onych dalszego przy sobie — jak to się zdarza jeszcze dzisiaj u dzikich. Mogli też ludzie, co również jest bardzo prawdopodobnem, przyjść do zrozumienia możności korzystania ze swobodnie żyjących stad zwierzęcych, zwłaszcza takich, zbliżenie się do których nie przedstawiało niebezpieczeństwa. Naprowadza mnie na tę myśl to, co opowiada Quatrefages o kopalnym szczepie ludzkim, zwanym Cro-Magnon, ślady którego znaleziono w południowej Francji, w Perigord w dolinie Vézère (jednego z dopływów Garonny). Podziwia on inteligencję tych ludzi i widzi w nich wiele podobieństw z Algonkinami (Algonquine), plemieniem czerwono-skórców amerykańskich, przyczem stale nazywa ich łowcami, myśliwemi. Wykopaliska jednak wskazują, że życie ich było w pewnej mierze zespolone z istnieniem stad renów. Mogli więc — jak dzisiaj — dozorować z daleka swobodnie żyjące stada tych zwierząt i w ślad za niemi przenosić się z miejsca na miejsce; w takim razie byliby oni już więcej pasterzami, niż łowcami. Sam Quatrefages wreszcie przypuszcza, że plemię to, postępując za renami, opuszczającymi środkowe krainy Europy z powodu zmiany klimatu, przeniosło się na odległą jej północ.

Okres myśliwsko-łowiecki trwał niepomiernie długo w stosunku do następnych okresów. W tym czasie zaszły wielkie rewolucje geologiczne, które urozmaiciły klimat, wpłynęły na odmianę flory i fauny. Rodzaj ludzki rozmnożył się i rozszerzył po kuli ziemskiej. Odbywała się ewolucja rodziny, kształtował się ustrój rodowy. Hordy różnoszczepowe częściej spotykały się z sobą, i zahartowane w walkach z dzikiemi zwierzętami, napadały na siebie wzajemnie, uwodząc kobiety, lub pożerając ciała poległych przeciwników. Zdaniem mojem — ludożerstwo mogło się już pojawić w późniejszej dobie tego okresu, właśnie kiedy różnoszczepowe hordy zaczęły się z sobą coraz częściej spotykać, chociaż podobno oceanijscy wyspiarze, np. mieszkańcy Nuka-Hiwy, w wypadkach srożenia się głodu pożerają starców, dzieci i kobiety z własnego nawet plemienia.

Warunki geologiczne wywierały wpływ na upowszechnianie się i utrwalanie życia pasterskiego. Pomiędzy ludami leśnymi łowiectwo zawsze pozostawało głównym sposobem do życia, użytkowano tylko nieco z bydła; natomiast na stepach, przy obfitości pastwisk, rozwinęło się ono w całej pełni. Właśnie w Azji, na wielkich stepach i równinach onej, trzy szczepy pasterskie: mongolski, semicki i aryjski, wzbiły się do roli przewodniej w dziejach ludzkości. Na lądzie amerykańskim, gdzie brak był tych zwierząt, oswojenie których zapewniło ludziom ogromne korzyści, i gdzie skutkiem tego braku nie mogło się rozwinąć pasterstwo, rozwój społeczny znacznie się spóźnił w stosunku do takiego rozwoju na lądzie wschodnim. Indjanie północnej i południowej Ameryki, którzy oswoili lamę, posunęli się względnie do innych ludów amerykańskich najdalej w rozwoju społecznym. „Wprowadzenie zwierząt domowych do Ameryki — powiada słynny podróżnik La Perouse wywarło ogromny wpływ na obyczaje wszystkich ludów, zamieszkujących od Santjago aż do cieśniny Magellońskiej. Nie trzymają się one prawie żadnego z dawnych zwyczajów; nie żywią się więcej tymi samymi płodami; nie mają już tego samego ubrania co dawniej - i o wiele więcej są podobni do Tatarów lub mieszkańców wybrzeży Morza Czerwonego, aniżeli do swoich przodków z przed dwu stuleci.“ (C. d. n.)

*) Antonio Labriola, profesor uniwersytetu rzymskiego, jeden ze zdolniejszych socjologów, w przecenionem skądinąd przez marksistów francuskich dziełku: *Essais sur la conception matérialiste de l'histoire* (Paris, 1897), potępia szablonowych wyznawców materjalistycznego pojmowania historji, którzy, ciesząc się z tego, że „mogą jednym i jedynym kluczem przeniknąć wszystkie sekrety życia“, utrzymują „w całej nagości i surowości“, że moralność, sztuka, religja wiedza są tylko produktami warunków ekonomicznych. (Str. 242 i 243). Ustanowienie czynników — jak słusznie uważa Labriola — wynika z potrzeby umysłu orjentowania się w tem ogromnem skomplikowaniu wszelkich zjawisk, jakie przedstawia życie społeczne. W pewnych okresach, w pewnych epokach, słowem w pewnych konkretnych wypadkach, może jeden, lub drugi czynnik przeważać nad innemi, ale to nie oznacza, że on zawsze przeważa i że jest jedynie prawdziwie ważny.



W młodzieńczych moich snach...

W młodzieńczych moich snach
Jest wszystko, co zachwyca...
Morza, o cichych dnach,
Zsrebrzone od księżyca,

Doliny złotych niw,
Kraje, gdzie wieczną wiosną
Zboża, nie znając żniw,
Kwieciste w słońcu rosną.

W młodzieńczych moich snach
Jest świat, co zachwyt budzi —
Świat pełen szczęścia... ach,
Szczęśliwych nie ma ludzi...

Władysław Orkan.



ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

12) Obraz historyczny.

— Ach, patrz, nazwisko mego przodka! — zawołała, wskazując podpis kanclerza koronnego: — Władysław z Lobkowic!*)

— Nie inaczej. Ale jego mość kanclerska, podpisując ów dokument, nie przypuszczał zapewne, ile kłopotów i troski sprawi on niegdyś jednemu z jego potomków i że będzie przez tegoż zniszczony. Na szczęście mam już w ręku ten papier przeklęty.

— Słyszałam, że się bronili, że nie chcieli oddać dokumentów, że krew nawet popłynęła...

— A no, tak, trudno...

— Więc koniecznie musiałeś je mieć? — pytała dalej cichym, wzruszonym głosem.

Hrabia ściągnął niecierpliwie rude brwi.

— Rozumiem, żal ci tych buntowników...

— Te papiery nie mają już przecie wartości żadnej?...

— I ja to samo powiadam, a jednak myślałem o nich zaraz z niepokojem. Gdybym był prokuratorem, strzegłbym ich pilnie. Wszak wiatr na dworze cesarskim nie zawsze w jednym i tym samym kierunku wieje i nie zawsze bywa dla nas przyjazny. Pamiętasz zapewne, co się działo za nieboszczyka cesarza**), gdy wolnomyślny pan z Grafenberka***) wziął w obronę tych chamów, albo też później, za księcia Auersperga****), ile sił i środków musiałem zużyć dla obalenia jego zamysłów. Gdyby się stało, jak on sobie życzył, całe państwo nie należałoby dziś do mnie, a przecie i wtedy dokumenty Chodów nie miały już waloru. Na podstawie tych oto szpargałów mogliby wytoczyć mi proces lada chwila. Ale teraz, chwała Bogu, wszystko skończone raz na zawsze...

Lamminger uśmiechnął się, natomiast oblicze jego żony zasępiło się smutną jakąś myślą. Hrabia spojrzał na nią pytająco.

— Zdaje mi się, że masz mi coś jeszcze do powiedzenia?...

— Tak, ale może... będziesz się gniewał... Słyszałam, że ci ludzie z Ujazdu będą bici, karani i że... nie dano im żadnego pożywienia...

— Więc serce twoje umie litować się nawet nad losem tych, co są przeciwko nam?... Karani będą, zaiste!

— Jeden z nich raniony podobno... drugi starzec bezsilny...

— O tym ranionym nie wspominaj mi nawet. O starcu i o innych, pokorniejszych, pomyślę, jeżeli jest taka wola twoja. Ale już późno. Dobranoc, droga! Dziś możesz spać spokojnie. I zamek i ziemia pozostaną na wieczne czasy własnością naszych potomków: popiół tych oto pergaminów to poręka najlepsza...

Złożył zimny pocałunek na czole żony, która nie śmiała wstawiać się dłużej za uwięzionymi, a po jej odejściu, zwrócił się znowu do szkatułki. Patrzał zamyślonemi oczyma na papiery, ale ich nie czytał. Nagle wziął jeden z nich, zbliżył się do kominka i zrobił ruch, jakby zamierzał cisnąć w ogień świadka swobód czeskich, lecz ręka opadła mu wnet pod wpływem innej jakiejś myśli. Podszedł do stołu, ułożył wszystkie papiery na dawne miejsce i zamknął szkatułę.

*) Małżonka Maksymiliana Lammingera, Katarzyna, była rodem z Lobkowic.

**) Ferdynanda III.

***) Ignacy z Grafenberka, prokurator Królestwa czeskiego, który świetnie bronił sprawy Chodów.

****) Książe Jan Auersperg, tajny radca cesarza Leopolda.

VIII.

Mróz był silny tej nocy. Odczuli to najdotkliwiej więźniowie w zamku. Kupili się oni wszyscy na brudnej podłodze, w pustej, zimnej izbie czeladnej, wokoło starego Przybka, który trzymał na kolanach piękną swą ciupagę. Szła między nimi pogwara o smutnych wypadkach ubiegłego dnia. Mówili o Macieju Przybku, a więcej jeszcze o młodym Kozinie, o jego niezłomności, śmiałej odpowiedzi na groźby rządcy i o całem wogóle zachowaniu się, które wprawiło wszystkich w zdumienie.

Jeden tylko Rzehurzek uśmiechał się przy tem jakoś dziwnie i powtarzał z zadowoleniem:

— No, widzicie, a dawniej nie chcieliście wierzyć, kiech powiadał, że to setny chłop.

Wszystkie jednak czoła zamroczyły się znowu, gdy stary Wachal zrobił słuszną uwagę:

— I na cóż się to wszystko zdało, po co cierpiał Kozina i Wójcin i Maciej Przybek, kie ten wilk nienasytny porwał nasze dokumenty, nasze prawa...

Późno już było, gdy drzwi skrzypnęły niespodzianie i na progu ukazał się żołnierz z latarnią w ręku, a za nim dwaj pachołkowie. Jeden nasłał słomy na podłogę, drugi przyniósł chleba i wody. Poczem odeszli, nie mówiąc słowa. Więźniowie usiedli teraz na posłanie i zabrali się do wieczerzy. Stary Przybek jeno i wójt Syka nie wzięli w niej udziału, mówiąc, że nie czują głodu. Oni też tylko nie szukali pokrzepienia w śnie, gdy inni udali się na spoczynek.

Noc krążyła cicho nad krajem. Milcząca była i jasna. Blask jej wpadał do izby dwoma oknami, wychodzącemi na ciemne, bezbarwne lasy. Ku nim, ku tym lasom, zwracały się spojrzenia obu Chodów.

— Naskie one były drzewiej... — szepnął po chwili Syka stłumionym głosem.

— Hej! — przyświadczył starzec. — Jeszcze dziadek gazdował w nich, jako i w swojej chałupie, był haw panem. A my tera pozieramy na nich z haresztu...

Umilkli, lecz po chwili Syka, wskazując w stronę lasów, zawołał wzruszonym głosem:

— Raty! Przybka!... Hań nad lasem ta gwiazda!...

Przybyk spojrzał i przeżegnał się.

— Kometa! — szepnął drżącemi usty. — Znak boży!

Ponad żałobną ścianą lasu płonęła istotnie kometa, jasną miotłą w górę zwrócona.

— Strasznie wielga! — zawołał Syka.

Teraz przypatrywali się jej wszyscy. Niektórzy na kolanach, inni stojąc. Było widoczne, że słyszeli rozmowę, że nie spał nikt.

— Kometa... zła wróżba — mówił Przybek. Widziałem ich kilka, a zawdy później bywała wojna, głód albo mór. Ale ba! taka wielga świeciła na niebie raz ino, przed oną wojną*), co trwała trzydzieści lat. Byłem wtedy pacholęciem jeszcze, ale pamiętam, jak gdyby to wczoraj się działo. Siedzieliśmy przed chałupą i patrzyli na nią. Nieboszczyk dziad miał słuszność, przepowiadając, że będzie źle, bardzo źle! I sam, nieboraczysko, doczekał spełnienia swej przepowiedni. Na własne oczy widziałem, jako wojsko cesarskie zabrało nam wszyściuteńko, do ostatniego jagnięcia w owczarni i ostatniej kromki chleba z komory. Za młodu chadzał w żupanie i kamizeli ze złotemi oblankami, a na stare lata głodem przymierał!... Pozostała mu ino ta oto ciupaga! Pamiętam, jak zawdy płakał, wspominający o dawnych, dobrych czasach... Ale coby rzekł, gdyby teraz powstał z grobu?! Wtedy mielichmy przynajmniej nadzieję, a teraz... ta gwiazda, co ona nam niesie, co ona nam wróży?... — skończył starzec drżącym głosem.

— Nam nic już nie wróży: o nas Pan Bóg zapomniał do znaku — jęknął stary Wachal.

Obecni spojrzeli na mówiącego. Dawniej byliby go skarcili za słowa bluźniercze. Teraz milczeniem zdawali się przytakiwać.

* * *

Podczas gdy jego ojciec przypatrywał się z troską i niepokojem złowróżbnej gwieździe, Maciej Przybek spał, wyciągnięty na podłodze więziennej. Sen jednak olbrzymiego Choda na tem twardem, zimnem łożu nie był przyjemny, bo śpiący miotał się niespokojnie, a z ust jego wyrywały się słowa bez związku. W stanie nieświadomości toczył widocznie walkę dalej i oburzał się na tych, co postąpili z nim brutalnie, jako ze złoczyńcą, pozbawiając wolności.

W przyległej celi, w otoczeniu niemniej posępnem, Kozina siedział na zydlu pod ścianą. Opierając zbolałą głowę o szorstki, zimny mur, młody góral wpatrywał się zamyślonemi oczyma w skrawek gwiaździstego nieba, widniejący z po za rdzawej kraty okienka.

Nie czuł żalu, ni przygnębienia. Owszem — w duszy jego panował spokój. Spokój, który następuje po dokonanym fakcie. Zniknęła niepewność, rozwiała się ciężka atmosfera wiszącej nad ziemią burzy. Piorun uderzył i przedarł ciemność, co mroczyła od dawna myśl dbałego o swój honor Choda. Zrehabilitował się dzisiaj. Dowiódł, że nie jest takim, za jakiego mieli go wszyscy, nawet matka rodzona. Matka?... Jak ona dziwnie potrzyła mu w oczy, gdy powiedział, że wie o tajemnicy — i potem, gdy odprowadzono go na zamek... Teraz siedzi zapewne u niego, w izbie... Wszyscy tam są, razem skupieni... Dzieci śpią... Hanka, nieboga, płacze... Dzieci pytały zapewne o niego... Pawełek, Hanusia, ta jagódka mała...

Znużone powieki Jana kleiły się do snu. Myśl jednak pomykała z więzienia, przez lasy, aż stanęła u malowanego łóżka z firankami, na którem spało dwoje ślicznych dziatek — chłopię o czer-

*) 1619 r.

wonej, okrągłej buzi i dziewczynka płowowłosa... Nad niemi pochyla się młoda, urodziwa matka i patrzy na swoje skarby rozkochanemi oczyma, w których świeci szczęście...

Taki czar bił z tego obrazu, taka była w nim siła wabiąca, że najlżejsze wspomnienie ostatnich wypadków nie zamąciło jego pogody, nie padło cieniem na tło promienne... C. d. n.

Tłum. M. Wysłouchowa.



CZUWAJ!

OPOWIADANIE MATYLDY SERAO

Z WŁOSKIEGO.

6) PRZEKŁAD EUGENJI ŻMIJEWSKIEJ.

V.

Pewnego popołudnia w listopadzie, kapitan Gigli, dyrektor królewskich galer, i komandor Colonna, inspektor królewskich więzień, szli ulicami Nisidy.

Inspektor bawił tu od kilku dni. Był to Piemontczyk, bardzo systematyczny, skrupulatny; wywiązywał się ze swego zadania z sumiennością biurokraty: o wszystko pytał, nad wszystkiem się zastanawiał.

Gigli nie opuszczał swego inspektora ani na krok; cierpliwie, z szacunkiem dostarczał mu wszelkich wskazówek i objaśnień, przedstawiał mu regestry i rachunki, starał się dać mu dokładny obraz stanu rzeczy w zakładzie karnym w Nisida.

— Widzę, że pan jesteś zadowolony? — zagadnął go owego popołudnia inspektor.

— Tak, dosyć zadowolony, panie pułkowniku. Spełniam mój obowiązek i nie mam czasu myśleć o sobie.

— A więc gotów pan jesteś pozostać?

— Pozostanę, dopóki mnie tu pozostawią — odparł kapitan.

— Zdaje mi się, że pańska żona czuje się tu szczęśliwą? — nadmienił inspektor.

— Istotnie — przyznał Gigli głosem cichszym, trochę wzruszonym. — Z początku nie mogła znosić tego otoczenia. Wszak to łatwo zrozumieć...

— Czy już przywykła?

— Trochę. Z natury ma skłonność do melancholji... Dziś jest może smutniejsza, niż dawniej, ale pogodzona ze swym losem. Ona taka dobra!

— Powinienbyś pan wyprawić ją na jakiś czas do Neapolu — radził inspektor.

— Nie pozwalają mi na to środki — oświadczył kapitan.

Doszli do placu, na którym galernicy budowali nowy gmach dla siebie, krzątali się z szaflikami wapna, wdrapując się zwinnie po drabinach.

— Czy chętnie pracują? — spytał inspektor.

— Nie wszyscy. Z pięćdziesięciu jeszcze nieposkromionych, najniebezpieczniejszych, nie dało się zaprządz do roboty.

— Czy używałeś pan środków przymusowych?

— Tak, lecz te kary rozdrażniły ich tylko; nie złamały oporu.

— To dziwne. Czy pan domyśla się przyczyn?

— Nieposkromionymi są zwykle ci, którzy trawili czas na włóczędze, żyli z rabunków i kradzieży. Ci nie dają się nagiąć do pracy. Zaraz panu jednego z takich przedstawię.

Skinął na galernika, który siedząc na kamieniu, zajadał kawał chleba.

— Calamea! — zawołał.

Przestępca nie raczył się odwrócić. I drugie wezwanie było bezskutecznem. Dyrektor pohamował wzbierającą w nim niecierpliwość i krzyknął:

— *Drwij ze śmierci!*

Galernik zerwał się odrazu. Był krępy, miał brzuch wystający, nogi króciutkie, głowę ogromną, włosy rude, szczecinowate, a oczy wypełzłe, prawie białe.

Nie zdjął czapki i wciąż zajadał, niezmieszany obecnością kapitana Gigli i komendanta Colonna.

— Jak się nazywasz? — spytał inspektor srogo.

— *Drwij ze śmierci!* — brzmiała odpowiedź, wypowiedziana głosem ochrypłym

— Nie masz innego nazwiska?

— Tamto nic niewarte — odparł wzgardliwie.

— A zatem nie chcesz pracować? Dlaczego?

— *Drwij ze śmierci* nie znał nigdy, co praca.

— Sąd skazał cię na ciężkie roboty?

— Niech mnie tutaj trzymają, ile chcą.,. Nic na to nie poradzę... do stu djabłów!

— Nie klnij! Musisz pracować!

— Muszę siedzieć na wyspie przeklętej, muszę dźwigać łańcuch, którym nas Wiktor Emanuel obdarzył... ale męczyć się, zapracowywać — nie, to się po mnie nie pokaże.

Mówił to z dziką energią.

— Gdybyś zechciał pracować z dobrej woli, uzyskałbyś może jaką ulgę — tłumaczył mu inspektor.

— Ulgę? Co mi z tego przyjdzie? Czy mi to skróci bodaj rok jeden z moich dwudziestu lat ciężkich robót? Choć jeszcze niewiadomo, czy dwadzieścia — dodał zuchwale.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— O! może się zdarzyć niejedno: mogę umrzeć, mogę też drapnąć!

— Nie ucieka się z Nisidy — wtrącił kapitan łagodnie, lecz stanowczo.

— I owszem, ucieka się, ucieka! — zawołał galernik. — Wasza Ekscelencja wie najlepiej, że jeden uciekł.

Inspektor pytał kapitana spojrzeniem. Gigli skinął głową.

— Tak, jeden wprawdzie, jedyny — mówił zuchwale *Drwij ze śmierci*. — Lecz tam, gdzie się jeden wyśliznął, może się wyśliznąć drugi. Chodzi tylko o to, żeby w ostatniej chwili nie stchórzyć... A zresztą... czy wasze prawo jest wieczne?

— Dość! — zawołał inspektor surowo. — Zapiszę cię za niesubordynację.

Galernik wzruszył ramionami i odszedł.

— Nieposkromiony — rzekł kapitan. — Mam takich pięćdziesięciu.

— Czy się nigdy nie buntowali?

— Raz jeden.

— Tylko raz?

— Wszyscy oni krytykują prawa, uważają się za istoty wyższe, za pokrzywdzonych, za prześladowanych przez Sprawiedliwość. Każdy ma się za lepszego od innych. Te niezgody są naszym sprzymierzeńcem.

— A jednak zbuntowali się?

— Tak.

— Czy bunt został stłumiony odrazu?

- Nie odrazu.

— Czy miał jakie następstwa?

— Zostałem raniony w głowę.

— Wszedłeś pan pomiędzy buntowników?

— Tak — odpowiedział kapitan z prostotą bohaterstwa.

— A jakże ich pan poskromiłeś?

— Pozwoliłem im się wygadać. Chcieli, żeby im było wolno widywać częściej rodziny: raz na miesiąc, zamiast raz na dwa miesiące. Żądanie było słuszne. Udzieliłem im pozwolenia.

(C. d. n.)



Z pism i książek.

(Sombart Werner: Socjalizm a ruch społeczny w XIX. stuleciu. Z wydania III. powiększonego przełożył Z. Ch.).

Dziełko Sombarta szybko zyskało rozgłos europejski, w krótkim czasie doczekało się w języku niemieckim trzech wydań, oraz licznych przekładów.

Autor zaczyna od twierdzenia Karola Marksa, że dzieje wszystkich społeczeństw są dziejami walk klasowych. Twierdzenie powyższe wydaje mu się prawdą jedną z największych, jakie wyłoniły się w XIX. wieku, jednakowoż prawdą, wymagającą omówień i dopełnień. Sombart zaznacza dalej słusznie, że walki klasowe nie wypełniają całej historji, że walki narodowościowe mają również olbrzymie znaczenie i dopiero w połączeniu z pierwszemi stanowią rzeczywiście historję świata.

Ruch społeczny jest to ogół dążeń pewnej warstwy społecznej, zmierzających do zasadniczego przekształcenia ustroju społecznego w myśl interesów tej warstwy. Czynniki, cechujące ruch społeczny, zdaniem Sombarta, są następujące: „Po pierwsze istnienie pewnego ustroju, który społeczeństwo dane żyje, i to ustroju społecznego, w którym w zasadniczej swej treści daje się sprowadzić do układu wytwarzania i podziału dóbr materjalnych, tej niezbędnej osnowy egzystencji ludzkiej... Po drugie, istnienie warstwy społecznej, niezadowolonej z obecnego porządku rzeczy... Po trzecie istnienie celu, do którego zmierzałaby warstwa niezadowolona z obecnego porządku rzeczy“.

Gruntem, na którym wyrastają namiętności rewolucyjne i dążenia proletarjatu współczesnego są: „swoistość nędzy, kontrast jej z przepychem życia chlebodawców i niepewność istnienia“, wszystko to wynika z dzisiejszego ustroju kapitalistycznego, opartego na najmie i wolnej konkurencji.

Drugi rozdział swej pracy autor poświęca tak zwanemu socjalizmowi utopijnemu, głównie zatrzymuje się na poglądach Owena.

Doktryny utopijne z pierwszej połowy naszego stulecia cechują się wiarą w powszechną skuteczność propagandy dobrych czynów, bez względu na warstwy społeczne poddane jej, przekonaniem, że zaprowadzenie nowych form życia społecznego nastąpić może natychmiast, stosownie do woli ludzi, wreszcie stronieniem od polityki i walk klasowych.

Utopiści nie zdawali sobie jasno sprawy z sił, które podtrzymują dany ustrój społeczny. Przeceniali własne siły reformatorskie, niedoceniając wrogich.

Rozdział trzeci poświęcony jest rozbiorowi ruchów rewolucyjnych, począwszy od wielkiej rewolucji francuskiej i kończąc na 1848 roku,

Sombart jest tego zdania, że nie miały one cech socjalistycznych, jak twierdzą niektórzy autorzy, zbyt łatwo podciągający każdy prąd rewolucyjny, skierowany przeciwko klasom wyższym, pod dążenia socjalistyczne.

W następnym rozdziale autor bada robotniczy ruch: angielski, niemiecki i francuski.

Cały szereg warunków historycznych złożył się na to, że ruch angielski nosił charakter aż do czasów ostatnich wybitnie praktyczny: nie tworzył prądów politycznych, niezależnych od innych partji w kraju.

Jedną z głównych przyczyn tego był fakt, że Anglja między rokiem 1850, a 1880 rozwijała się nadzwyczaj szybko pod względem przemysłowym. Istniało wielkie zapotrzebowanie pracy. Robotnicy w znacznej części mieli dobre wynagrodzenie, nie prowadząc walki politycznej.

Okoliczności te były jednak zupełnie wyjątkowe i nie powtórzą się już nigdy ani w tem, ani w innem państwie.

Dziś, w obec ogólnego dążenia do rozwoju własnego przemysłu w każdym kraju, mowy być nie może o zapanowaniu jednego jakiegoś państwa na rynku wszechświatowym w tym stopniu, co Anglja we wzmiankowej epoce.

Ruch robotniczy francuski ma wybitnie rewolucyjny charakter aż do czasów ostatnich. Okoliczność tłumaczy się zarówno temperamentem ludności, jak i okolicznościami historycznemi. Ruch robotniczy francuski odziedziczył w spadku po prądach drobnomieszczańskich rzutkość i krewkość polityczną.

Tradycje wielkiej rewulucji francuskiej, która w krótkim czasie zaprowadziła rzeczywiście wielkie i głębokie przeobrażenia społeczno - polityczne we Francji — ciążyły na pokoleniach następnych, wpajając w nich wiarę, że tylko drogą rewolucji można osiągnąć wielkie zmiany,

Ruch robotniczy w Niemczech różni się charakterem wybitnie politycznym od angielskiego, ewolucyjnym zaś od francuskiego.

Według Sombarta, ta okoliczność, że mieszczaństwo niemieckie, skutkiem późnego stosunkowo rozwoju, nie odegrało wybitnej roli politycznej — wpłynęła na wstąpienie proletarjatu na drogę samodzielnej akcji politycznej.

Rozdział ten, w pracy Sombarta, jest jednym z najlepszych; autor umiejętnie uchwycił cechy zasadnicze ruchu francuskiego, niemieckiego i angielskiego; nie wyczerpał jednak przedmiotu, dając objaśnienia trafne, ale niezupełne.

W rozdziale V Sombart mówi o Marksie. Stara się ująć jądro nauki autora „Kapitału", i oddzielić je od naleciałości, będących wynikiem jego temperamentu i okoliczności chwilowych. Nie będziemy tu przytaczali dobrze znanych teorji ojca socjalizmu współczesnego, zaznaczymy tylko, że Sombart umiał wybornie wypełnić swe zadanie.

Za wynik temperamentu Marksa, oraz okoliczności, wśród których żył, uważa Sombart jego rewolucyjność, dążenia przewrotowe i wyszukiwanie rewolucji. Marksizm bowiem jest zdaniem wrocławskiego profesora doktryną na wskróś ewolucyjną, a nie rewolucyjną. Potwierdzenie swego poglądu znajduje na wstępie do „Walk klasowych we Francji" Marksa, napisanym przez Engelsa.

Ten ostatni zaznacza wyraźnie, że marzenia rewolucyjne zawiodły go i jego przyjaciół, że dziś pod osłoną prawa socjaliści odnoszą wielkie tryumfy na drodze legalnej, że wreszcie rewolucje w dawnym stylu są obecnie niemożliwe.

Sombart sądzi, że Marks raz na zawsze wyleczył nas z utopizmu, pod którym rozumie wiele bardzo rzeczy, zdaniem naszem, nawet za wiele. W tym wypadku profesor wrocławski uległ sam przesadzie tak, jak wielu marksistów. Wszelkie przejawy walki bardziej uplanowanej, rewolucyjnej, starającej się szybko obalić zbutwiałe instytucje, uważa on za objaw przeżytków utopijnych.

Polemika z poglądem powyższym wymagałaby specjalnego artykułu, tu zaznaczymy tylko, że niemożność ścisłego ilościowego badania zjawisk społecznych nie pozwala nam dokładnie określić dojrzałość lub niedojrzałość reform społecznych; skutkiem tego w poglądach na tempo rozwoju społecznego muszą istnieć znaczne różnice między ludźmi, a stąd odmienne postępowanie. Trudno też przypuścić, aby wielkie przeobrażenia społeczne odbywały się nadal zawsze w formach ewolucji.

Zresztą dalej sam Sombart przyznaje, że różnice temperamentów zawsze odgrywają i odgrywać będą ważną rolę w poglądach na taktykę partyjną. Zdaniem jego, marksizm dlatego tak się rozpowszechnił, że umiał najlepiej ująć rzeczywistość, naturalne tendencje rozwoju społecznego i główne jego sprężyny.

W rozdziale VI Sombart dowodzi, że ruch robotniczy w trzech przodujących cywilizacją państwach: Anglji, Francji i Niemczech stopniowo ujednostajnia się, dążąc w kierunku wytkniętym przez marksizm.

W końcu autor zastanawia się nad współczesnymi prądami w socjalizmie, robi kilka uwag o kwestji agrarnej, o stosunku ruchu robotniczego do religji i narodowości, nakoniec rozbiera kwestję taktyki ewolucyjnej i rewolucyjnej. Wszystkie te jednak kwestje traktuje z lekka, na tej zasadzie, że dotychczas nie zarysowują się one jeszcze zupełnie wyraźnie.

Nie streściliśmy tu oczywiście wszyskich ważniejszych nawet poglądów Sombarta, chcieliśmy jedynie wskazać czytelnikowi na zawartość dziełka wrocławskiego profesora.

Jest ono napisane zwięźle, łatwo się czyta, ma przytem tę zaletę, że znakomicie ujmuje zasadnicze punkty w rozbieranych zagadnieniach. Ze wszystkich prac mniejszych, poświęconych socjalizmowi, dziełko Sombarta jest najlepsze, zasługuje też ze wszechmiar na poznanie.

Nowopostałe Polskie Towarzystwo Nakładowe wydało przekład Sombarta z ostatniego, trzeciego wydania, poprawionego i dopełnionego przez autora.

Jednocześnie pojawiło się inne tłumaczenie z pierwszego wydania niemieckiego. Tamto jest lepsze zarówno pod względem wydawniczym, jak i wewnętrznym. Zawiera bowiem cenny dodatek, z krytycznie opracowaną bibliografją, dotyczącą socjalizmu jako teorji i ruchu społecznego.

K.



Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.